Nasza Przyjaźń

Nr. 3. **Styczeń 1936.** **10 gr.**

W Nieznane...

Pan radca Dr. J. B. był w znakomitym nastroju... Siedział wygodnie przy wykładanym w mahoń stoliku w jednym z lokali rozrywkowych. Obok i naprzeciw niego paczka dobrych znajomych i bonwiwantów z przyjaciółkami. Panie miały twarze pokryte warstwą pudru Coty'ego, naskórek pod oczyma lekko pociągnięty błękitnawą pâte Simona, wargi i brwi podkreślone odpowiednim ołówkiem. Natomiast odsłonięte były poważnie ramiona, a zwłaszcza plecy, bo aż do pasa. Na stoliku dumnie wyciągały swe szyjki butle węgrzyna, likieru i wódki. Nastrój był „uroczysty", bo oczekiwano Nowego Roku, a żegnano stary. W sali dużej i okazałej swemi malowanemi boizerjami panował miły, podniecający szum głosów, przerywanych raz po razu zgrzytem ha — ha trochę już zapitych głosów. Muzyczka pobrząkiwała to sentymentalnemi uwerturami, to huczała jaskrawem jazzem, do wtóru tańca w bocznej sali dancingowej. Panu radcy było jakoś dobrze; zrobił wszystko, co było na taki dzień zlecone. A więc żonę, dzieci i służącą łaskawie wysłał do kościoła, by wysłuchały nabożnie gromowej homiletyki i różnych „czuwajcie, bo nie wiecie..." kaznodziei. Osobiście radca kazań nie lubiał i na nie nigdy nie chodził, tem mniej zaś na kazanie „z końca roku", w którem ksiądz tanim efektem wygrywał na strunach śmierci. To mogło naprawdę zepsuć humor na resztę drogich godzin! No, tak więc wszystko było w porządku i pan radca siedząc w swem siodle bawił świetnie damy w stylu „nowoczesnego rycerza" opowiadając różne tłuste kawały i nowinki z za parawanu. Panie dostawały rozkosznych dreszczyków z zadowolenia i obrzucały wybornego causer'a rozżarzonemi spojrzeniami. Koledzy starali się dotrzymać mu kroku a nawet go przelicytować. Śmiech, humor, używanie... kwintescencja życia była! I wszystko byłoby dobrze, gdyby pan radca nie miał pecha!...

Bo nagle, ni stąd ni zowąd zjawiła się ta, o której nikomu w rodzinie nie wolno było wspominać.

W dwóch błyskawicznych, ale dobrze wymierzonych upper-cut'ach wyrzuciła go „ona" z ringu życia... Nagle, pan radca jedną ręką chwycił się za serce, drugą rozpaczliwie znaczył w powietrzu S. O. S., wciągając z trudem powietrze ustami, ale język dotąd tak ożywiony i pracowity, zesztywniał i skołczał, tocząc tylko pianę i wydając rzężliwe jęki. Z wierzchołka głowy i ze skroni zaczął się sączyć cuchnący pot i drążyć się ku dołowi bruzdami przerażonej twarzy.

Oczy, te oczy podkreślające dotąd każdy koncept frywolnego serca i myśli, jakby zgęszczonym chichotem źrenic i zestrojoną grą brwi... te oczy patrzały na otoczenie, przepojone niemym lękiem zarzynanego zwierzęcia.

Rozbawione maski ludzkie nagle zastygły i przybrały grymas osłupienia i żalu... Poco właśnie teraz... i to tu!

Radcę położono na sofę, otwarto mu kamizelkę, odsłonięto wyprasowaną na sztywno koszulę: kelner przybiegł z zimną wodą, zatelefonowano po lekarza...

Naprożno... po dwóch minutach pan radca odszedł w Nieznane...

Kiedy ciało zmarłego przetransportowano po północy do domu, biedna małżonka i dzieci dostały nerwowego wstrząsu, nie tylko z powodu tak nagłej śmierci, ile też i na widok twarzy zmarłego męża i ojca.

Skamieniała i nieruchoma nazawsze maska chciała jakby wrazić w pamięć swoich najbliższych przeżycia tych ostatnich kilku sekund: przylepione do skroni włosy, skurcz boleści w kącikach ust i w zatoce oczu — źrenice, niepomiernie rozszerzone i jakby zapatrzone z przerażeniem w mroczną dal!... Straszne to było i niezapomniane!

Dopiero rano, rysy twarzy poczęły tracić na swej grozie i zalewać się — powieki się zasunęły, oblicze się odprężyło. Goście, napływający już od 10-tej, tradycyjnie jęli pocieszać: „Jak on ładnie wygląda, jaki spokojny, biedak więcej już nie będzie cierpiał na tym ziemskim padole... I ktoby to powiedział, że w Nowy Rok... Trudno, nikomu nie wiadomo, każdy z nas też... A dawno był do spowiedzi i Komunji św.? Ach! Pani nie przypomina sobie... Ah tak! Kilka lat temu! To nic nie szkodzi! On tam już...

Życzenia.

(Ef. IV, 22 — 25) Abyście złożyli według dawnego obcowania starego człowieka, który się psuje według żądz błędu, a odnówcie się duchem umysłu waszego i obleczcie się w nowego człowieka, który według Boga stworzony jest w sprawiedliwości i świątobliwości prawdy.

(J. XII, 36) Póki światłość macie, wierzcie w światłość, abyście byli synami światłości.

(Ef. IV, 1) abyście chodzili godni powołaniu, którem powołani jesteście.

(I. Kor. III — 9) ... rolą Bożą zoraną jesteście; budowaniem Bożem jesteście.

(J. VI, 40) A ta jest wola Ojca mego, który mnie posłał, iżby każdy, kto widzi Syna, a wierzy weń, miał żywot



wieczny, a Ja go wskrzeszę w ostatni dzień.

(I. Piotr II, 5) I wy, jako żywe kamienie, na Nim się budujcie, dom duchowny, kapłaństwo święte...

(J. XIV, 15) Jeśli mnie miłujecie, chowajcie przykazania moje.

(J. XV, 5) Jam jest szczep winny, wyście latorośle. Kto mieszka we mnie, a ja w nim, ten wiele owocu przynosi, bo beze mnie nic czynić nie możecie.

(J. VI, 54) Jeślibyście nie jedli ciała Syna Człowieczego i nie pili krwi Jego, nie będziecie mieć żywota w sobie.

(Ef. III, 17) Aby mieszkał Chrystus przez wiarę w sercach waszych, w miłości wkorzenieni i ugruntowani.

(J. XIII, 34) Przykazanie nowe daje wam: abyście się społem miłowali: jakom was umiłował, abyście się i wy miłowali.

J. XVII, 21 — Aby wszyscy byli jedno, jak Ty Ojcze we mnie, a ja w Tobie: aby i oni w nas jedno byli.

jest biuletynem apostolstwa świeckich w parafji.

Rozpocząć!

Przy każdem nowem dziele mamy wiele nowych pomysłów i widzimy przeróżne możności w ich przeprowadzeniu. Najważniejsze atoli jest: r o z p o c z ą ć.

Osobiste zainteresowanie.

Tylko ten może przeprowadzić wielkie zadanie, kto ma osobiste zainteresowanie w swej pracy, jak artysta w swem dziele.

Akcja katolicka „specjalizowana".

Jeszcze jedna instytucja, której przylepiają ten przymiotnik, zapożyczony z terminologji naukowej organizacji pracy. Tak, ale przymiotnik ten, kryje w swej treści nową metodę i wizję pracy apostolskiej.

Samo wyrażenie: „Akcja Katolicka" zakorzeniło się już w świadomości społecznej i zdobyło sobie temsamem legitymację na miejsce w słowniku polskim. Ale co ono znaczy konkretnie, to nie bardzo wie tak zwany szary człowiek i nie on tylko. Czy chodzi o tworzenie „frontu" katolickiego przez jednoczenie w masowych organizacjach wszystkich dobrowolnych katolików — czy wewnętrzne wyrobienie ludzi, budowanie w nich świątyni duchowej i twórczych sił — ale gdzie, kiedy, jakimi środkami? — W Kościele, w organizacjach, na zebraniach — i w jaki sposób? Akcja — jak wyrażają się uczniaki, o koledze, nie bardzo umiejącym swe lekcje — trochę „pływała". Ale pomału zaczyna rosnąć przekonanie, że z platformy konferencji, wykładów i t. p. trzeba zejść w sam miąższ życia konkretnego, we włókna danego środowiska społecznego, określonego głównie zawodem, poznać możliwie najdokładniej jego stanu materjalny, religijny, moralny, zawodowy, kulturalny — jego zwyczaje, nawyki i błędy i po dokładnem poznaniu całej tej „aury" środowiska, zastosować odpowiednio plastyczne i psychologiczne metody apostolstwa świeckich. I to jest ta „specjalizacja". — A więc ile kształtów społecznie dającego się ująć życia, tyle odmiennych podejść. W miejsce człowieka abstrakcyjnego — człowiek żywy, człowiek konkretny z danego specyficznego środowiska. Po dokładnem poznaniu — oddziaływanie i przeistaczanie, w myśl doktryny, przez ludzi znających na wskróś środowisko. — A więc jeszcze raz: trzeba zacząć od wyodrębnienia z masy skomplikowanego życia cząstkowych i scharakteryzowanych jego odcinków — wdarcie się z pasją rozpoznawczą i obserwacyjną, możliwie najbardziej wszechstronną, a później jeśli zajdzie potrzeba, uzupełnianie, wyprostowanie, przerabianie w zdrowszą syntezę... Z danego środowiska powinny dopiero wykwitnąć organizacje i ludzie... Wtenczas dopiero będzie można mówić o odnowieniu wszystkiego, a więc i ludzi i instytucji — w Chrystusie.

Pawłowe hasło.

Nikt z ludzi nie wyraził mocniej, a lapidarniej, a zarazem z większą żarliwością hasła zdobywania dusz, jak święty Paweł, apostoł narodów. W pierwszym liście do Koryntjan (IX. 22) pisze: „Wszystkim stałem się wszystkiem,

Otrzeźwijmy!

Cierpimy prawie wszyscy na banalne powtarzanie głębokich słów, bez przejmowania się zbytnio ich obowiązującem dla życia znaczeniem. I tak dla wielu katolików w Krakowie przeszła w nic nie znaczący komunał, ta o wiecznej i niewzruszalnej wartości zasada: „Cóż pomoże człowiekowi, choćby cały świat pozyskał, a na duszy szkodę by poniósł?" Tę wielkość duszy ustalił sam Chrystus - Bóg.

Spróbuj jednak w imię tej zasady uderzyć w jakiegoś nikczemnego człowieka, który pismem, przedstawieniem, filmem, słowem gangrenuje, czy też społecznie krzywdzi nie jedną, — wyraźnie nie jedną — ale tysiąc, dwa i więcej tysięcy dusz nieśmiertelnych, i to dla zapchania swej własnej kieszeni — znajdą się wówczas „gorliwi" zpośród nas, którzy będą bronić i to zawzięcie tego jednego, ale nie zależy im nic na dobru moralnem czy sprawiedliwości społecznej tysięcy bliźnich. Oni to dają poznać, że im się nie podoba, by tym potrząść, a z tamtego zedrzeć maskę obłudy...

Nie podoba im się, bo oni mają na oku swój własny interes! Nie podoba im się pomimo, że znają te słowa Pana: „nie pokój przyniosłem, ale miecz" — i te inne: „ponieważeś letni, pocznę cię wyrzucać z ust moich".

Oni znają te słowa Pana, tak, ale oni wolą swoje bagienko... wolą nawet, by Bóg wzbudził choćby z kamieni synów Abrahamowych, by nierządnice uprzedziły ich w Królestwie niebieskiem, byle oni tu na ziemi mieli spokój i wygodę...

Tym pomniejszycielom ideału chrześcijańskiego, którzy zatracili zmysł Kościoła walczącego o Królestwo Boże i sprawiedliwość Jego, wszystko będzie niemiłe, co ten ideał przypominać będzie.

Nie da się jednak dziś na bezdrożach gnuśnej chwiejności, bezideowości czy kompromisu trzymać tych, którzy pragną śmiało i całą swą mocą współpracować z Bogiem, by Jego prawo stało się wszystkiem dla wszystkich — współpracować w misji Kościoła, mistycznego ciała Chrystusowego — wypracować w duszach bliźnich integralny katolicyzm, który jest synonimem świętości, katolicyzm, który zna do głębi zatrute i zmącone dno życia, ale zna i środki, jak człowiecze bojowanie na ziemi wyprowadzić na szczyty, skąpane w słońcu, gdzie króluje od wieków i na wieki Bóg - Absolut, Prawda, Dobro i Piękno w swej niepojętej, transcendentalnej Jedności.

O parafji.

II. Byłem brutalnie szczerym, Adolfie, i na zakończenie twojego exposé o parafji, powiedziałem ci, że wiesz tyle, co nic.

Muszę Ci się wytłumaczyć! Jedno musisz mi sam zaraz przyznać: miałeś mówić o parafji, a tymczasem cały czas mówiłeś o księdzu proboszczu i o księdzu wikarym. A przecież to chyba nie to samo? Księża mogą się w niej zmieniać, różnie się zachowywać, a parafja w swej istocie się nie zmieni. Widocznie na to nie zwróciłeś uwagi!

Ba! Ale nawet o księżach wyrażałeś się w sposób, przypominający swym poziomem i treścią, maniery socjalistyczne. Powiesz mi, że tysiące parafjan nie co innego umiałoby powiedzieć na twem miejscu, o odpowiedzialności, godności i funkcjach duszpasterskich — ha! nawet gotóweś dodać, że i te zacne kobiety, całujące księży nabożnie w rękę, jak im się coś nie spodoba, potrafią djabelsko ich przenicować. Coś takiego, może z ignorancji, zrobiłeś i ty!

Tak, tak... nie masz co protestować dla efektu... Ah! Uśmiechasz się... Widzisz więc, że nie mylę się. Przedstawiłeś ich, jako spełniających mechanicznie, bez przekonania i żarliwości funkcje sakramentalne, których wartości zgoła nie pojmujesz. Później widzisz w nich biurokratów, urzędujących sztywno w Urzędzie parafjalnym i pobierających „chciwie" za te czy inne czynności grosze... O mały włos, a byłbyś wygadywał na różne kategorje ślubów i pogrzebów — „dla bogatych i biednych"... Kto wie, gdziebyś-był zaszedł jeszcze? Nie zapomniałeś jednak o tem, by kazać poświęcić księżom popołudnie i wieczór na „dolce far niente" — na wizytowaniu bogatych i możnych tego świata... Widzisz więc, jak twoje „prawowierne" myślenie pokrywało się w dużej mierze z wymysłami „Błysków wolnomyślicielskich". Musiałeś je chyba czytać, czy co?

Nie, nie czytałem, ale przyznam Ci rację, że to, co powiedziałem, było bezkrytycznem echem zasłyszanych tu i ówdzie utyskiwań w różnych

sferach, zapewne nieprzyjaźnie usposobionych lub źle poinformowanych. Widzę nawet, że jak na katolika, nie źle się wypaskudziłem.

Dobrze, że jesteś szczerym, będę i ja nadal takim i powiem, że brak Ci właśnie wizji tej rzeczywistości, jaką jest parafja, ta pierwiastkowa, społeczna komórka Wielkiego Kościoła, mistycznego Ciała Chrystusa Pana.

By Cię podprowadzić, drogą pewnego zresztą kulawego dość porównania do idei parafji, wezmę przykład z dziedziny przyrody, którą ty tak lubisz. Wyobraź sobie, że jesteś w lecie na wsi. Cudny, słoneczny poranek. Na zielonej, tłustej łące skrzą się miljardy kropli rosy. Idzie chłop boso, ciężką stopą niszczy te maleńkie cudeńka. Ciebie bierze złość i powiadasz mu: „Żebyście wiedzieli, Wojciechu, że w tych kroplach wody kryją się największe tajemnice, odbija się jakby cały świat!" — A on ci na to powie: „Ech, cóż wy też gadacie panocku, ja tylko uważuję, że rosa jest mokra i że czasem „scypie" w nogi!" A ty mu na to: Jest jeszcze coś więcej Wojciechu! „Siadajcie, na tej kłodzie drzewa, bo macie kapkę czasu, spróbuję wam to opowiedzieć". I zbierając do kupy swe wiadomości i przypominając sobie piękną lekcję poglądową wielkiego pedagoga niemieckiego Foerstera „świat w kropli wody" — zaczynasz wykładać.

O pełność życia religijnego.

I. W kole dość nielicznych katolików polskich, uważających się za „totalnych", słyszy się, zbyt często utyskiwania na swych współwyznawców, że są katolikami od święta lub mówiąc obrazowo, że swój katolicyzm zdejmują z kołka i przywdziewają na krótki czas w niedzielę, by gwoli tradycji wziąć udział w nabożeństwie, pojmowanem zresztą zbyt zewnętrznie i powierzchownie.

Zdyskwalifikowani w ten sposób religjanci, zaczynają robić zdziwione miny, krzywić się i dalej pytać się: o co wam właściwie chodzi? Czy mamy chodzić codziennie o 6-tej rano na Mszę św., — przez cały dzień mieć złożone ręce do modlitwy i być zapatrzonymi w obraz Świętego — albo może zakopać się w Sumę teologiczną św. Tomasza z Akwinu? Do licha, co wy od nas chcecie — dajcie nam swobodnie żyć!

Ale tamci coraz nieprzyzwoiciej nalegają, że czas skończyć z połowicznością — że trzeba być logicznym katolikiem, że trzeba się „wziąć w kupę" i religję uczynić rozumną zasadą kierowniczą całego życia i całej działalności.

Jednak naciskani rozpaczliwie, tłumaczą się, że przecież religja, to religja, a życie to co innego, bo np. na co w biurze potrzebna jest religja... I dlaczego religijnym trzeba być „ciągle", a nie tylko w kościele, czy przy modlitwie? A wówczas pierwsi poczynają ich pouczać. Najpierw sam zdrowy rozum mówi nam, że jesteśmy stworzeniami Boga. To chyba rozumiecie! (a może nie?) Jako stworzenia winniśmy Stwórcy służbę naszą i oddanie naszych serc, bo przecież wszystko, co mamy, to od Niego! Religijne życie jest więc usposobieniem stałem człowieka, nie zapominającego ani na chwilę o swym Ojcu w niebiesiech. Jest to jego przyzwyczajenie, jakby zwykła szata duszy.

Religijnym jest rano, w południe i wieczór. Religja jest jakby sposobem istnienia, jest tyglem, w którym kształtują się nasze myśli, słowa, działania, tworzące części tej samej i jednej całości. Takie usposobienie nazwano nawet modlitwą wnętrzną, czy bezustanną, a znaczy ona, że osoba ludzka czuje się ciągle w obecności Bożej, że mówi do swego Boga językiem wewnętrznego uwielbienia, pokory i radosnej ufności.

Czytaliście kiedy list św. Pawła do Kolossan? Nie... ah! prawda, nie macie czasu... no tak! Otóż św. Paweł powiada ślicznie: „Słowo Chrystusowe niechaj mieszka w was obficie, z wszelką mądrością, nauczając i sami siebie napominając przez psalmy i hymny i pieśni duchowne, w łasce śpiewając w sercach waszych Bogu". Czy to nie piękne? A dalej zaleca nam św. Paweł wszystko czynić dla chwały Bożej, wszystko do Niego odnosić, tak by to, co czynimy, było **aktem ciągłego posłuszeństwa.** I to posłuszeństwo jest jakby duchem, który w nas mieszka i wpływ swój rozciąga na każde drgnienie naszej duszy. O takich da się wówczas powiedzieć, że żyją w Bogu, że we wszystkich czynach, nawet „w jedzeniu i piciu" czują się w obecności Bożej.

abym wszystkich zbawił", a parę wierszy przedtem, również w skrócie, wypowiada tę samą myśl: „uczyniłem się niewolnikiem wszystkich, abym wszystkich pozyskał". Jesteśmy tu w obliczu człowieka, realizującego w swem żarliwem „bojowaniu o Ewangelję" prawdę słów Chrystusowych o wyrzeczeniu się swojego „ja" dla zdobycia drugich dla Prawdy. Dzisiaj, bardziej, niż kiedykolwiek należy nam w Akcji Katolickiej zastosować to życiem potwierdzone i zdobywcze hasło: zaprzeć, umniejszyć samych siebie, stać się sługą, by pociągnąć drugich. Trzeba chcieć za św. Pawłem stać się „wszystkim dla wszystkich". Może to dziś i nie łatwo, bo formy życia ogromnie się zróżniczkowały, a i środki duchowe same nie zawsze wystarczają. Wymagają też nasze czasy, poza świętością życia, wielkiej elastyczności umysłu i serca, by idąc wśród braci umieć ich widzieć „od ich strony" — umieć szanować ich niepowtarzalną i oryginalną indywidualność „według miary daru Chrystusowego" — umieć podać to, co potrzebne duchowo i materjalnie (o ile się to da) w odpowiednim czasie i w odpowiednich dozach.

Taka metoda zbliży nas do Pawłowego „stać się wszystkiem dla wszystkich".

Wartość duszy.

(Newman). Kościół katolicki sądzi, że lepiej byłoby słońcu i księżycowi spaść z nieba, lepiej byłoby ziemi zbłądzić w swym szlaku, a miljonom żyjącym na niej umrzeć z głodu w najcięższej agonji, w największej, jaka może być docześnej męce, niż gdy jedna dusza ludzka — nie mówię, jest zgubiona — lecz popełnia grzech powszedni, staje się winną jednego kłamstwa, kradzieży jednego szeląga bez usprawiedliwienia.

WYKŁADY W DOMU KATOLICKIM.

I. **Kurs filozofji chrześcijańskiej.** — Każdego poniedziałku o godzinie 19-tej w sali Błękitnej. 13. I. — 20. I. — 28. I. wykłada prof. Uniw. Jag. Ks. Dr J. Salamucha.

II. **Wykłady naukowo-religijne.** — W każdy czwartek o godzinie 6-tej w tej samej sali 23. I. — 30. I. doc. Uniw. Jag. Ks. Dr M. Morawski, T. J.

Obcowanie ze świętością.

Obcowanie ze świętością, choćby nieziszczoną, rodzi w duszy pokój i pogodę.

St. Brzozowski.

Brzozowski o Newmanie.

(Wyjątki)

W Newmanie, Newman jest najważniejszy on sam: jedna z najgłębszych dusz ludzkich, która przynosi nam świadectwo co do przedmiotu i zagadnienia, jak zbudowany jest w swem wnętrzu duchowem, człowiek. Jestto jedna z najbardziej zdumiewających, najpełniejszych, na wskroś prześwietlonych wieści o człowieku, o duchu ludzkim dla człowieka i ducha. Nasza wiedza o sobie zacieśnia i zagładza samą siebie, zrzekając się a priori zbadania tego źródła i to dlatego, że jednym lub może jedynym centrem życia duchowego tego człowieka

było wykrystalizowanie jakby z siebie, z swego wnętrza — faktu duchowego, który stanowi treść formy religijnej, władającej dzisiaj życiem duchowem, myślą i wolą najznaczniejszej części naszego narodu...

Newman widział zagadnienia i myśli w wielkich kompleksach: myśl jego znała etyczne znaczenie logicznych subtelności, umiała odrazu obejmować dziejowy i metafizyczny widnokrąg zagadnień logicznych i konkretnie życiowych i wreszcie, gdy analista wyjaśnił nam, jakby sam proces powstawania myślowej tkaniny, moralista ujrzeć zmusił tchórzostwo woli lub chwiejność sumienia poza subtelnościami dyalektyki — działacz i człowiek czynu poczuć kazał odpowiedzialność i grozę przed dziejową przyszłością — metafizyk - poeta olśnił widzeniem całego naszego ludzkiego świata, jako jednej wysepki życia pośród jego tajemniczych bezmiarów i głębin — człowiek religijny zamykał to wszystko w swem sercu, na dnie którego świecił Bóg, jak słońce i kruszył się wraz z nami w jasności tego widzenia, które wnika w nas, jak nagły cios, poraża, ale pozostawia raz na zawsze pewność rzeczy niewątpliwych, wspomnienie ich odmiennego, niż wszystko inne dotknięcia... Newman jest człowiekiem wiary, głębokich na całe życie niezawodnych przywiązań: jest on wierny samemu sobie, swemu widzeniu życia, niezwiązanemu bezpośrednio z żadną postacią określonej działalności praktycznej.

U źródeł.

Czy boisz się tej książki, książki jedynej... książki Życia — Ewangelji. Tak już dużo czytałeś książek w twoich dziecięcych latach i później, kiedy nadeszła młodość i później, kiedy ona przeminęła, tak wiele czytałeś, a tej nie. Dlaczego? Mereżkowski, wielki pisarz rosyjski, w jednym z rozdziałów książki o Chrystusie, pisze ze wzruszeniem, że nigdy przez całe życie nie rozstawał się z Ewangelją. Skórzana jej oprawa zdarła się, wypłowiała, kartki pożółkły, zaciemniły się od palców, ale książka ta była mu nad wyraz drogą, jedyną... była zawsze z nim. A ty boisz się jej, pokarmu twojej duszy, boisz się światłości dla siebie? Nie byłżeby to zły znak? Nie mów, że jej nie zrozumiesz! Czytaj tylko codziennie z nabożeństwem słowa i zdania, a zobaczysz, że pomału w duszy twojej wzrośnie wielkie widzenie świata duchowego i Królestwa Bożego.

Tylko się zabierz i nie odkładaj!

Mszały dla świeckich.

Mszał niedzielny i świąteczny. Kraków 1935 r. Ułożył Ks. Dr M. Kordel, str. 639. Cena 3.70 zł. Kraków, ul. św. Marka 10.

Mszał rzymski na wszystkie dni roku. Wydanie OO. Benedyktynów. — Stron 1934+78. Do nabycia w księgarniach katolickich. Cena od 14 zł. wgórę.

——oo——

Przysuszona latorośl.

Bo przemijanie cienia, jest czas nasz. (Ks. Mądr. II, 5).

Kiedy przyjął mnie na progu, zauważyłem w jego wyrazie twarzy dużą zmianę. Dało się na niej czytać niewytłumaczone dla mnie ożywienie, a w oczach taiła się wyzywająca pointa złośliwości. Kiedy wprowadził mnie do pokoju skromnie, ale gustownie umeblowanego, oczy moje padły na stół, na którym leżał pierwszy numer „Naszej Przyjaźni". Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Nuż się domyśli, że to o nim mowa. P. Hieronim spostrzegł moje zmieszanie i uśmiechnął się.

— Wiem, co pana niepokoi. Powiem panu szczerze, że zbudowany jestem jego gorliwością, ale nie mogę przetrawić nieudolności rysunku psychologicznego mej osoby. Domyślam się, skąd pan czerpał pobudki do swej pracy i jakiemi malował farbami. W swym zapale apostolskim, chce pan uderzyć w zastygłą masę urzędniczą! Nie chce pan dyssekcji zastosować do całej kasty, bo wyszłoby coś bardzo ogólnego, a panu potrzeba żywego człowieka. Musiał więc pan doszukać sobie „typa" wziętego z życia, któryby jednoczył w sobie te przywary, w które pan zamierza uderzyć — któryby, jednem słowem — był kozłem ofiarnym okrzyczanej przez was warstwy. I zdawało się panu, że ja się do tego nadaję. Po paru minutach rozmowy sądził pan, że natrafił pan na pierwszą żyłę eksploatacyjną, wspólną nam wszystkim: bezideowość — później coś niecoś zebrał pan od złośliwych, a głupkowatych sąsiadów — zeszył pan to wszystko grubem szwem, według „pewnej kliszy" i miał pan w swojem pudełku kolekcjonera „okaz", odpowiednio spreparowany z etykietą „biurocraticus cracoviensis amentalis". Bardzo mi przykro, że przerwę panu tę chwiejną linję ataku poprzez moją osobę i zwrócą uwagę, że apostolstwo nawet katolickie nie wyklucza potrzeby większej wnikliwości psychologicznej, której wam wszystkim wojującym katolikom bardzo brak, bo wolicie hałasować bezosobowemi kliszami kaznodziejskiemi. A zatem, jeśli chcesz pan przenicować krakowską biurokrację, zasiądź pan do napisania książki, podobnej do „Ronds de cuir" Courteline'a, w której tenże wyszydza francuską administrację, ale nie zamykaj pan skomplikowanego i nieuchwytnego procesu życiowego w szablonową klasyfikację.

W miarę, jak mówił, czułem, że biją na mnie siódme poty. Przejrzał mnie na wylot. Całe moje apostolstwo, źle wystartowane, groziło ruiną.

Wtem przyszła mi pomoc od niego samego.

— Ale niech się pan nie martwi. Niema nic straconego jeszcze. Mała tylko nauka, że trzeba być ostrożnym, bo pozory mylą. Widzi pan, jestem urzędnikiem i nie bez śmiesznych nałogów biurokracji, ale zawsze interesuję się, poza mą pracą, zagadnieniami umysłowemi i religijnemi, bo one tworzą tkankę mego życia. Prawda, zdarza mi się czasem powiedzieć coś krytycznego pod adresem niektórych księży, bo nie mogę strawić miernoty duchowej, dziś, kiedy potrzeba ducha bezkompromisowości i tej górnej a czystej świętości, do jakiej i was wzywa Kościół. To jeszcze nie jest niedowiarstwo, ale wzajemne pobudzanie się! Czytam taką a nie inną gazetę, bo nie widzę na razie jakiejś lepszej katolickiej, ale zdaję sobie sprawę lepiej od tysięcy katolików, że przydałaby się dobra, żywa, nowoczesna gazeta katolicka, służąca ideowo i sprawiedliwie Prawdzie Chrystusowej — nie kierowana kupieckiemi czy partyjnemi względami i umiejąca jasno przeprowadzać linję demarkacyjną zła i dobra. Zdaje mi się, że pod tym względem katolickie społeczeństwo jest już jednak doskonale uśpione i trzeba będzie niem porządnie trząść, by doprowadzić je do zrozumienia sprawy, która ma zasadnicze znaczenie dla zbawienia duszy ludzkiej. Co do zarzutu sekciarstwa, to obmowa pochodzi stąd, że dwa czy trzy razy byłem na zebraniu sekciarzy, by zbadać dla siebie, o co im chodzi i jaki tam poziom. Ludzie ci mają na pozór dziwną, a niepoślednią żądzę religijnego dyskutowania: przy bliższem jednak przyjrzeniu się pachnie to mocno chorobliwą a mglistą „mistyką", skojarzoną z zarozumiałem wykoszlawieniem myśli, odbijającej się i na ich życiu. Cementem spajającym tych ludzi to nienawiść do Kościoła katolickiego czy raczej do księży, uzasadniona zarzutami osobistemi.

Tak więc odwróciłem panu całą pana robotę. Jeśli pan ma ochotę do mnie jeszcze wpaść, to proszę, powiem panu mój pogląd, na trudności pozyskania sfer urzędniczych dla Akcji Katolickiej.

Zasypane źródła.

(3) Nie! Kupiec, jego żona i córka nie szli nigdy do kościoła na Mszę św. w nastroju radosnym jakiegoś synowskiego wynurzenia się, rzucenia się w ramiona Ojca. I nie ten nastrój towarzyszył im w drodze do kościoła — jaki przed wyobraźnią mą wywołał psalm 83. Przypomniało mi się nawet, że mimo, napozór zadowolonej miny, na twarzach ich malował się utajony smutek, jakaś gorycz niewymćwiona, nieuświadomiona. Czyżby to był ten uraz, trapiący każde dziecię, Adama, uraz człowieka upadłego, który zadawalnia się omłotem wieprzów, chociaż jego najgłębsza natura wzdycha i jęczy: „czemuś mnie opuścił? i czemu smutny chodzę?" wyślij światłość Twoją i prawdę Twoją". (ps. 42. w Introicie Mszy św.). I istotnie my ludzie nowocześni jesteśmy smutni. Radować się i cieszyć mogą tylko ludzie czystego serca, dzieci i młodziankowie niewinni, których jest Królestwo niebieskie. Ale my nosimy maski — my nosimy twarze uśmiechnięte dla świata — wewnątrz jednak przeżywamy ból, ból grzechu... I dlatego na Mszę św. nie idziemy w tej spontaniczności dzieci Bożych. Czujemy, że Ofiara i Ofiarnik - Chrystus musiałby nam wpierw umyć nogi, jak ongiś Apostołom, chociaż byli czystymi, byśmy mogli przystąpić do Ołtarza Pańskiego. Czujemy się bez szaty godowej i dlatego jesteśmy smutni!

I nie pomogą nam różne rozrywki, zabawy, rozmowy... nic to! My wewnętrznie czujemy, że dla oka Bożego, jesteśmy nagimi, jak ongiś Adam, po grzechu w raju, że w głębi nas, w naszem sumieniu przebywa Jego głos. Jak? Tego nie wiemy! Jak, On Niewidzialny - Duch wie wszystkie nasze najgłębsze poruszenia, nikomu z naszych towarzyszów życia niewiadome? Nie wiemy, ale Biblja - Księga, która zna człowieka, do głębi zna, jak żaden ludzki najgenjalniejszy traktat psychologji moralnej — ona daje nam zrozumieć tajemnicę człowieka, który drży i kruszy się, boi się spojrzeć Bogu twarzą w twarz, by snać nie pomarł śmiercią. Człowiek Biblji, człowiek wieczny wie, że Ten, Który Jest, mieszka w światłości niedostępnej, ale jest wszędzie. „Gdziebym nie był, gdziebyś Ty nie był? Oko Twoje wszędzie mnie widzi, choćby na krańcach ziemi. Widzi mnie, kiedy wstaję i kiedy siadam, widzi mnie, jakim jestem. A jednak, gdybym przystąpił do Ołtarza Twego, Tybyś uweselił młodość moją! Gdybym porzucił omłot wieprzów, — pychę ciała i oczu — Tybyś mnie przyjął w ramiona ojcowskie!" Tylko, tak nam trudno wejść na via arcta — na wąską drogę naszego zbawienia! Wiemy, że Ty Panie wszystkie dajesz nam środki, byśmy byli świętymi (I. Piotr, 15). Codziennie ofiarujesz Swego Syna za nas, by zmyć nasze grzechy i darować nam, bylebyśmy zrozumieli i chcieli „powstać".

Oto jest rzeczywistość życia każdego z nas, a zarazem konieczność bezwzględna uznania tej rzeczywistości i tych dróg wyjścia z upadku „na górę świętą". — Tak, ale mój znajomy kupiec z jego rodziną jakby nie odczuwali tego. On już parę lat nie był do spowiedzi i mawiał, że nie ma powodu chodzić, bo nic złego nie zrobił, nikogo nie zabił, nie obrabował w biały dzień... Nawet czułby się zażenowanym przy konfesjonale, boby nie wiedział co powiedzieć. Wprawdzie, cośby tam się może i znalazło... Ale to nie są grzechy, bo wszyscy ludzie je popełniają — z tych grzechów sobie pokpiwają i swoje robią, nie siedzą za to w żadnej „pace"!

One były już wrażliwsze! Po Wielkiej Nocy, prawie w ostatnich dniach okresu szły tradycyjnie do spowiedzi. Młoda Katy mówiła do koleżanek i swych wielbicieli, że to trochę „nudna historja". Obie z matką wywiadywały się wprzód w gronie znajomych, który ksiądz jest więcej „miękki" i upatrywały sposobny czas, kiedy ścisk przy konfesjonale był większy i ksiądz nie miał czasu niczego się dopytywać. Załatwiały się i później miały spokój przez cały rok, aż do następnego i tak w kółko. W ciągu roku czuły się zupełnie swobodne i nie uważały za stosowne „grzebać się" w sumieniu. Zresztą i na to nie byłoby czasu i szkoda by go było na takie rzeczy!

Kiedym sobie ten stan znowu uprzytomnił, wzięła mnie złość na siebie samego: „Przegrałeś dwie już pozycje i nie wiesz, jak popchnąć dalej sprawę! Poco, głupi durniu, obiecywałeś, nie przemierzywszy wpierw swoich sił? Cóż teraz?"

Tak monologując w drodze do mych znajomych kupców, znalazłem się pod ich bramą. Mocno niespokojny o przebieg niepewnie się zapowiadającego apostolstwa liturgicznego, zadzwoniłem do ich mieszkania na pierwszem piętrze.

——*000*——

Współuczestniczyć!

Może nigdy nie zaznaczyło się tak gwałtownie w tęsknotach ludzkości owe „desiderium naturale videndi et habendi Deum" św. Tomasza, jak wśród dzisiejszego rozstroju myśli ludzkiej i załamywania się urządzeń życiowych. Kościół, głosząc zupełny nawrót do Boskiego Odnowiciela stosunków człowieczego współżycia, prowadzi apostołów odrodzenia świata do ołtarzy, na których Chrystus Pan w Ofierze Mszy św. nieustannie pośredniczy między niebem a ziemią. I mocarnie znaczy się przebudowa narodów w duchu Bożym tam, gdzie z Eucharystycznych i mszalnych tajemnic biją czyste zdroje apostolstwa.

Wierne i ofiarne dusze, porwane wewnętrznem tchnieniem apostolskiem, znajdą w polskim przekładzie Mszału Rzymskiego, wydanym przez benedyktyńskie Opactwo St. André, to, co ich ze słuchaczy Mszy św. przenieść może na współofiarujących z kapłanem uczestników. Dostojność i bogactwo liturgji mszalnej, przeżytej w czasie Ofiary, pogłębi polską religijność. Żywy udział w tajemnicy Mszy św. wyzwoli niepokonane energje na ruszającą wyprawę Bożą o prawa i łaski Boże w życiu narodów.

Jutro apostołowie Chrystusowi udawać się będą na Mszę świętą w kapłańskich nastrojach, nie z tuzinkową książką modlitewną, lecz ze Mszałem.

(List J. Eminencji Ks. Kard. Augusta Hlonda, do księgarni Verbum).

Co potem?

Potem, po śmierci? — Na to gotową odpowiedź mają materjaliści różnych odcieni, reprezentowani najczęściej przez koła wolnomyślicielskie, komunistyczne, socjalistyczne: Nic potem! Koniec i klapa! Wrócisz cały do natury, rozłożą cię robaki i tyle! Gdybyście nie chcieli w to uwierzyć, udowodnimy wam z pewnością naukową, że tak jest. Sprowadzimy bakterjologa, dla większego efektu, z Paryża, z Instytutu Pasteura! Możemy się nawet założyć! No więc, widzicie, że mamy rację. A jeśli tak, to słusznie wnioskujemy, że z tego życia trzeba wyciągnąć możliwie najwięcej rozkoszy, — (albo też odebrać sobie życie) bo potem nie pozostanie po nas, nawet szczypty zapachu.

Inna kategorja — to ludzie obojętni, typy patologiczne, zżarte jakąś „dementia paralytica", w rodzaju starego Fedora Pawłowicza z Braci Karamazów (Dostojewskiego), który powiada do swego syna: „nie przystoi wcale poczciwemu człowiekowi do raju się pchać, jeśli ów raj nawet istnieje. Dla mnie zasnąć snem nieprzespanym i nie obudzić się więcej i nic więcej niema. Módlcie się za mną, jak chcecie, a jak nie chcecie, to niech was djabli!"

Jakież to beznadziejne poglądy dla chrześcijanina, który wierzy w nieśmiertelność duszy i połączenie się z Bogiem!

—— • • ——

Ustrój rodziny.

Rodzina obejmuje w sobie społeczność małżeńską, która kojarzy małżonków oraz społeczność rodzicielską, która łączy — w razie płodności małżeństwa — rodziców i dzieci, z tegoż małżeństwa zrodzone.

Ojciec jest naturalną głową rodziny. Matka jest wspólniczką tego zwierzchnictwa. W braku ojca, matka jest powołana do sprawowania niepodzielnie tej władzy.

(Art. 12 kat. Kod. społecznego).

Z Encykliki.

Pierwsze więc miejsce pomiędzy dobrami małżeńskimi zajmuje potomstwo... I oboje małżonkowie uważać będą te dzieci, które skorem i wdzięcznem przyjęli sercem z ręki Bożej, jako skarb, powierzony im przez Boga, który zużyją nietylko na korzyść swoją i ziemskiej swej ojczyzny, lecz który w dzień zdania rachuby z zyskiem Bogu oddadzą.

(Z Encykl. Piusa XI. „O małżeństwie chrześcijańskiem").

Krucjata XX. wieku.

„Naród nie jest kolekcją jednostek wyodrębnionych, ale jest społecznością rodzin, które się wiążą.

Jednością organiczną jest nie jednostka, ale rodzina. Słowa te powiedział Herriot, francuski prezes ministrów. dodając do nich ten program:

Należy zmienić całość ustawodawstwa i administracyjnych rozporządzeń, ta, by dać rodzinom opiekę, którą w XIX wieku zarezerwowano tylko jednostce".

Jest więc rzeczą konieczną, aby rodzina w społeczności narodowej zajęła z powrotem to miejsce wybrane, które się jej należy. Ognisko rodzinne musi być przedmiotem ciągłego, praktycznego i pozytywnego zatroskania się ze strony społeczności, której oddaje tak walne usługi. Tę krucjatę muszą podjąć katolicy, zwłaszcza ci, którzy pracują w Akcji Katolickiej. Naturalnie, jest to jedna cześć zagadnienia.

O krucjacie odrodzenia moralnego należy mówić osobno.

Uznania godne.

Kuratorjum Okręgu Krak. wydalo okólnik do szkół z nowemi zarządzeniami co do uczęszczania na przedstawienia kinowe młodzieży szkolnej. Zarządzenia te idą po linji dezyderatów organizacji społecznych, zwłaszcza sekcji do walki z demoralizacją, a i na skutek oficjalnych nawoływań sfer rządowych.

—oOo—

Rodzina... to znój, ale i radość.

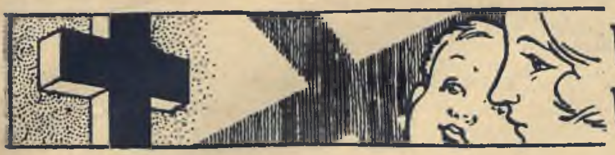
Kto by mi był powiedział, kiedym była jeszcze panną, że to życie tak wygląda! Byłabym się może i nie wydała... monologowała Pani Karolina, żona urzędnika pocztowego. Chociaż i nie... Życie miało dużo ostrych kantów, Boże! nawet ile cierpień, ale i radości, ale i jakiegoś wewnętrznego wzrostu... Boże, jakie życie jest dziwne! Płynie i płynie, jakby koło nas, my się ciągle zmieniamy, przybywają nam zmarszczki, zęby wypadają, prószą się włosy srebrem... a my idziemy wciąż... dokąd... kiedy się to skończy?

„Ah, Krzysiu, Krzysiuniu zrobiłaś bęc! No widzisz, jesteś maleńka masz dopiero dwa lata, nie możesz odchodzić od mamusi... no, co ci się stało?... no, nie płacz, nie płacz... mamusia ci da coś z drzewka patrz, takie ładne, widzisz kolorowe! Ale chodź, bo mamusia musi obierać ziemniaki, bo jak wróci tato, a Helcia, a Józio ze szkoły, a Wandzia z biura wszystko musi być gotowe...

Pomożesz mi... ależ tak, nie patrz tak na mnie... chodź, niech cię pocałuję moje maleństwo drogie... Tak, będziesz odbierała ziemniaki ode mnie i kładła tu... do garnka z wodą... Tylko się nie przewróć, a nie zalej wodą... Co mówisz? Dzie tata? Tata w biurze, ciężko pracuje... jeszcze nie rozumiesz..." Boże, jaki on przychodzi nieraz zmęczony, a zdenerwowany! A teraz te podatki, te zniżki... ciężko jest. Dwoje dzieci do szkoły ubrać, książki kupić, zeszyty, różne składki... dobrze, że jeszcze się pilnie uczą. Niech Bogu będą dzięki!... Biedna Wandzia... za te parędziesiąt złotych musi cały dzień stać w sklepie... i boję się o nią, czy ten personel nie działa na nią źle duchowo. Ona taka wrażliwa... cóż? dopiero 16 lat... niedawno skończyła kursa handlowe... a dziś młodzież taka zepsuta... może i temu nie jest winna sama. Ach, ileż ta moja Wandziuchna kosztowała mnie bolów i zachodów... ile razy do niej w nocy wstawałam w czasie jej choroby. I teraz znowu dręczy mnie myśl — dziewczyna dojrzewa, trzeba ją uświadomić coś więcej o życiu, bo inaczej inni się do tego zabiorą, a nie daj Boże, ile narobić mogą zła! Cóż z niej będzie? O posag ciężko... mówię mężowi, żeby może kupił polisę posagową i wpłacał składki... to może najlepiej by było. Przecież dziewczynie coś musimy dać, choć ciężko... to nasze pierwsze dziecko.

„Ale, Krzysiuniu, zaczekaj, mama musi wstać, widzisz jak para podnosi pokrywkę... gotuje się rosół... poczekajże niech wstanę, nie chwytaj się mnie..." Ciężko, zmęczyłam się dziś tym targiem... tyle rzeczy trzeba nieść i taki kawał... nawet do kościoła czasu nie miałam wstąpić... A tu, gdyby człowiek nie miał wiary, to nieraz nie wiem... nie chcę Boga obrażać, bo zawsze nad nami miał miłosierdzie... Wiem to, należymy do Niego... Mówiłam to mojemu mężowi, kiedy przed paru miesiącami coś mi zaczął mówić o eugenice, o środkach antykoncepcyjnych... O Boże, czego ja się tak uniosłam wtenczas na niego... Ale od tego czasu nigdy o tem już nie mówi, jest zawstydzony... Podobno znajomi Frankowie to praktykują... ale co to jest, czy to ludzie, czy zwierzęta?... I wcale źle się nie mają...

Boże, jaki człowiek jest ciemny na tym świecie... Przypominam sobie, kiedyś czytał mi mąż z Dziejów apostolskich, że Ananjasz i Safira śmiercią zostali ukarani za jedno kłamstwo... zdawałoby się niewinne, a tu ludzie gotują sobie, z uśmiechem na ustach, może na zawsze przeklętą wieczność i nic... Dlaczego to tak jest, czyśmy temu wszyscy winni?... Tak jest, tak się wydaje wielu, jakby tego Boga Naszego wcale nie było wśród nas..." No, poczekaj, Krysiu, bo teraz mam zarobić makaron... a może jesteś głodna... chcesz bułeczki... a gdzie masz aniołka, którego ci tato kupił... no tego aniołka ze skrzydełkami?... Nie wiesz!... Mówiłam ci wtenczas przy drzewku, że narodził się Bozia, mały Jezus w pieczarach takiej groty ciemnej tam daleko... modlisz się przecież do Bozi... Aniołkowie... byli przy narodzeniu, śpiewali... głosili ludziom wieść... no poszukaj tego aniołka!..." Już po dwunastej! Muszę się śpieszyć, bo wnet przyjdą. Po południu znowu czeka mnie praca, muszę Wandzi uszyć tę sukienkę... Ale wieczorem sobie odetchnę. Wandzia zrobi kolację z Helcią... Przyjemnie jest wieczór, kiedy wszyscy zbierzemy się razem... razem, tak dobrze jest z dziećmi... Kosztowały nas krew i ciało i znoje... ale to wraca zwielokrotniowem światłem... Tak Boże, kto chowa przykazania Twe, jest szczęśliwy... Krzysiu, moja Krzysiu, pójdź tu, mój skarbie!



WYCHOWANIE.

Potrzeba ideału.

II. Błędem najczęściej spotykanym u wychowawców jest to, że nie mają oni w umyśle i sercu dokładnej idei doskonałości osoby ludzkiej, do jakiej należy doprowadzić dziecko.

Co sądzilibyśmy o rzeźbiarzu, któryby na chybił trafił jeździł dłutkiem po bryle marmuru, z której rzekomo chciałby uczynić dzieło sztuki, gdyby wpierw nie utrwalił w wyobraźni idei dzieła do wykonania. Bez wątpienia, nazwalibyśmy go warjatem i nierozumnym. Tymczasem zbyt często się zdarza, że rodzice podobni są do tego rzeźbiarza. Bóg powierza im dziecię, jako niekształtną bryłę z odziedziczonymi namiętnościami, a oni zabierają się do ukształtowania go, nie zadając sobie jednak wpierw trudu zastanowienia się, jak mają wyglądać cechy i zalety, które stanowią doskonałość. Uderzają więc w bryłę dłutkiem, „jak się zdarzy" i dziwią się potem, że młodzieniec, który wychodzi z ich rąk jest bezkształtną masą nieujarzmionych namiętności.

Zanim się więc wychowawcy zabiorą do swego dzieła, muszą wpierw przepoić swój umysł i serce ideałem jasno określonym. Muszą sobie zgóry przedstawić typ „doskonałego dorosłego człowieka", do którego należy ukształtować, wychować dziecko.

Przed zamążpójściem.

I. Co należy powiedzieć młodym pannom przed zamążpójściem? Bo są takie, które tego nie wiedzą... nie wiedzą, bo dla nich idea małżeństwa zarysowuje się jakoś, co w rzeczywistości niczemu nie odpowiada — jeśli chodzi o głębokie pojmowanie małżeństwa, jego obowiązków i praw, jego wzniosłej odpowiedzialności. Dla takich słowo „miłość" pojęte w słodkawym błękicie pięknego marzenia jest przyjaźnią ulepioną z szeptanych sobie konfidencji, z radości widzenia się, mówienia sobie czułych słów: cała różnica z przyjaźnią jest tu, że jedna z osób to mężczyzna, którą ma się przyjemność nazywać z dumą „mąż". To inne słowo „macierzyństwo" zamknięte jest całe w jakiemś świetlanem złożeniu w ciup twarzy, pochylonej nad dzieciątkiem, któremu się zasyła czułe uśmiechy, — które się pieści i któremu się całuje powieki do snu. A te inne słowa o ogromnem znaczeniu „jedność" — „on sam z nią samą" — nierozerwalność, to znaczy „aż do śmierci jednego z nich", jakby nie mówiły nic ze swej uroczystej a może, tragicznej powagi tej, która je wymawia. Nie wiedzieć — to mniej więcej to...

Czy dużo jest takich niewiedzących? Trochę, ale stosunkowo niewiele. Bo policzmy: są panny, pracujące w handlu, częściowo w rzemiośle, w biurach, w fabrykach państwowych i prywatnych, w szkolnictwie... wiele jest bez zajęcia... Prawie wszystkie na 10, 15 dni czy jeden lub parę miesięcy, gdzieś wyjeżdżają na świeże powietrze, idą na plaże, z wycieczką na camping czy na ski. Jedne uczęszczają do salonów, inne do kin, na zebrania, przedstawienia... Otóż to wszystko uczy życia, zwłaszcza dziś, kiedy to życie idzie pod znakiem bezczelności, odkrywa wszystkie tajemnice, zamiast je zakrywać, ma więcej przesady niż umiarkowania, więcej odwagi niż dyskrecji. Czy straszne światło życia nie przebije murów najbardziej grubych domów, najbardziej uczciwych?

Nie wytrzymają żadnej prawie zapory macierzyńskiej ochrony, czy rodzinnego przemilczenia, życie prześlizgnie się przez nie, a czasem je nawet przebije, by dostać się do serca młodych, gotowych na przyjęcie objawienia uprzedzanego pewnem przeczuciem. Otóż więcej jest panien „źle uświadomionych" niż nic nie wiedzących i całe zagadnienie polega może mniej na pouczeniu o tem, czem jest małżeństwo, jak o dobrem pouczeniu źle uświadomionych.

Rodzina a Sowiety.

Sowiety wstąpiły do walki ze świadomem macierzyństwem pod hasłem: „Rodzina bez dzieci nie ma racji istnienia". — Biedny Boy, Krzywicka, Melcerowa i nasi propagatorzy postępowości!

Rozmyślania rodzinne.

Posłanictwo.

I. Bóg stworzył mnie, bym Mu oddał jakąś określoną służbę: zlecił mi jakieś dzieło, którego nie zlecił nikomu innemu. Mam moje posłannictwo — może nie będę o tem wiedział w tem życiu, lecz dowiem się w następnem. W jakiejś mierze konieczny jestem dla Jego zamiarów, a tak niezbędny na mem stanowisku, jak Archanioł na swoim, i jeśli nie odpowiem temu zadaniu, to może On kogoś innego wzbudzić, jak mógł był z kamieni wzbudzić synów Abrahama.

A więc jestem częścią w tem wielkiem dziele: jestem ogniwem w łańcuchu, wiązaniem między osobami. Nie napróżno mnie stworzył. Muszę czynić dobrze, muszę spełnić Jego dzieło: i będę aniołem pokoju, głosicielem prawdy wokół siebie, choćbym o tem nie wiedział, jeśli zachowam tylko Jego przykazania i służyć Mu będę w mem powołaniu.

* * *

Ty jedynie, słodki Panie, jesteś pokarmem na wieczność i Ty jedynie. Wieczność byłaby bez Ciebie nędzą, choćbyś nie zadał kary.

J. N.

* * *

Z myśli do czynu.

II. (25. września 1899). Nikt nie wie, co się w nas dzieje, na dnie głębin duszy. Czuć Boga koło siebie, rozważać, modlić się, zgłębiać w sobie każdą myśl wielką, aby się nią przejąć, to składa się na życie wewnętrzne i to życie wewnętrzne jest najwyższą radością życia.

Ale te myśli, co nas poruszają, te pragnienia gorące, te szlachetne postanowienia, mają przechodzić w czyn, bo jesteśmy w pełnem życiu ludzkiem i wielkie zadania mamy przed sobą. Chwila to wysiłku bolesnego, bo trzeba oderwać się od samego siebie, porzucić pole myśli dla pola urzeczywistnienia, stanąć otwarcie z czynem, choćby go nie zrozumieli lub źle zrozumieli, albo znieśli z grzeczności, jako dobro ludzkie. Należy czerpać u Boga niezrównaną siłę, uzbroić serce cierpliwością i miłością, aby zaczynać dzień w dzień, godzina za godziną, dzieło obowiązkowe każdego chrześcijanina: zbawienie moralne i materjalne — swoich braci.

(Z pamiętnika Elżbiety Leseur).

Podręczniki dla rodziców.

Schilgen: O czystość młodzieży.
Podoleński: Podręcznik pedagogiczny.
Kieffer: Autorytet w wychowaniu.
Plus: W obliczu małżeństwa.

Ważne postulaty.

Między 31 lipca a 5 sierpnia b. r. odbył się w Brukseli Międzynarodowy Kongres Wychowania Rodzinnego, na którym reprezentowanych było przeszło 40 krajów.

Minister belgijski Rubbens, witający imieniem Rządu uczestników. deklarował mocno, że „dom ma wychowywać, a szkoszkoła uzupełnia dzieło rodziców i współpracuje z nimi“. Delegaci innych państw, jak pisze St. Podoleński, podkreślali mniej lub więcej silnie, że rodzina, to podstawowa instytucja wychowawcza i dlatego powinno bronić się jej autorytetu, podtrzymywać świętość, a zarazem stworzyć takie warunki gospodarcze i społeczne, by mogła godnie sprostać swemu zadaniu. Pięknie przemówił bar. H. Delvaux de Fleuffe, prezes Międzynarodowej Komisji organizacyjnej: „... zawsze pozostanie prawdą, że właściwym warsztatem, w którym formuje się charakter dziecka, jest dom rodzinny. a głównym mistrzem tego dzieła jest matka. Cenimy wysoko zdobycze wiedzy i pragniemy dalszego jej postępu na drodze poznania duszy dziecka i doskonalenia metod wychowawczych: ale sądzimy, że obok tego, co psychologja odkrywa w swych laboratorjach i obok tych subtelnych badań, jakie przeprowadza się zapomocą pomiarów i testów, należy większą, niż dotychczas wagę przykładać do zdania matki. Pod jej bowiem opieką dziecko pozostaje najdłużej, jej serce ma najłatwiejszy przystęp do niego, jej oko widzi to, czego nie zdołają ujrzeć inni świadkowie. Dzięki temu poznaniu i przywiązaniu „matka prawdziwa matka, godna tego imienia“ będzie mogła lepiej od innych spełnić zadanie wychowawcze, zwłaszcza, że do niego „powołuje ją Opatrzność i sama natura“.

Stąd ilekroć matka jest przy dziecku, nie wolno jej usuwać, by innemi wychowawczemi i „mądrzejszemi metodami“ zastąpić jej działalność, ale trzeba udostępnić jej te zdobycze wiedzy i zostawić ją na stanowisku — bo matka ma prawo do tego, by zająć pierwsze miejsce między wychowawcami, a nasze kongresy powinny ją na tej pozycji utrzymać.

Konkretna praca.

Dobrze będzie, jeśli w miejsce ogólnikowych biadań i utyskiwań na nauczycielstwo, na szkołę, na podręczniki, zabierzemy się do konkretnej pracy i wyraźnie wskażemy źródło, czy przejawy zła.

Do takiego stanowiska zdają się dociągać artykuły prof. L. Skoczylasa w miesięczniku „Wiara i Życie“ (listopad — grudzień), gdzie autor, dobry znawca w swej dziedzinie, poddaje krytycznej analizie podręczniki literatury i dzieła krytyki literackiej (art. Przemilczana Prawda). Udatnie uzupełnia tę pracę w drugim artykule: Religja w nowych podręcznikach szkolnych. Byłoby dobrze, by numery te dotarły do Instytutów Akcji Katolickiej i do rąk Komisji szkolnej Episkopatu. W tymże samem piśmie Ks. Fr. Kwiatkowski umieścił w okresie lata artykuł o „szkole wyznaniowej“.

Jak to tam wygląda ?

Wystarczy wypuścić z ust słowo „szkoła“, a twój interlokutor, jeśli to ojciec i matka — zrobią przerażone oczy i zapytają po cichu: cóż tam znowu, Panie?

Otóż i to: rodzice wolelby jak najmniej słyszeć o szkole. Weszła im już porządnie za skórę i mają jej dość. A tymczasem zasady i fakty przemawiają za tem, że rodzice powinni szkołą stanowczo więcej się interesować, bo szkoła stanowi uzupełnienie, jest instytucją pomocniczą środowiska rodzinnego. Dlaczego tak jednak brak tego zainteresowania? Z wielu względów. Szerokie masy społeczeństwa za mało wychowane są społecznie i kulturalnie, by interesowały się w sposób żywy i konkretny — a poważny i odpowiedzialny losem takich czy innych instytucji, mających za zadanie przyspasabiać czy organizować życie jutra.

Pozatem jeśli chodzi o szkoły, musiały sfery rządowe już od pierwszych lat zaistnienia Polski odrodzonej przystąpić do intensywnej przebudowy form i treści nauczania, przystosowania ich do nowego życia narodu i do tych urojonych czy rzeczywistych zdobyczy pedagogiki na zachodzie. To doganianie siedmiomilowemi butami nie obyło się bez wielu niepotrzebnych zapędzeń, które znowu domagały się korektur i tak w kółko. Dodajmy, że jesteśmy w dziedzinie pedagogiki współczesnej w okresie „inflacji“ i że gdzie, jak gdzie, ale u nas najbardziej się dusimy z nadmiaru. Poszczególni ministrowie, różne związki nauczycielskie, różni reformatorzy naznosili wszelakich projektów, propozycji, planów, tak że wzrosła z tego prawdziwa piramida Sfinksa i teraz nie wiadomo, kto kogo uczy — czego właściwie uczy i co z tej mąki wyjdzie. Jak się wyraził przed paru laty min. St. Czerwiński, jest dziś „więcej niepokoju szukania, niż triumfu znalezienia, więcej hipotez, niż pewników, więcej eksperymentów, niż trwałych zdobyczy“. Bardziej lapidarnym jest Dr. Spasowski, bo powiada krótko, że jest „chaos i śmietnik“. — W tym stanie rzeczy, co rodzice mogli pomóc lub jak się „skapować“ we fluktach programowych szkół? Od początku wprawdzie zarezerwowano im przy szkole mały kącik współpracy — w formie Komitetów rodzicielskich — ale ta instytucja przerodziła się w praktyce w komisyjkę wydatków pozabudżetowych szkoły, czyli obciążona została kwestją różnych wydatków kółek uczniowskich, wycieczek, pomocy naukowych — urządzania balów i teatryków etc.

Z czasem zaostrzył się kurs na t. zw. „wychowanie państwowe“, biorące dzieci w monopol wychowania. Dzieciska prawie cały dzień spędzają w szkole. Na to rodzice ani zipli — wielu było nawet bardzo zadowolonych. Jednocześnie szkoła zaglądała coraz częściej, a gęściej w kieszenie rodziców: różne składki, a wpisy, a czesne, a zmiana książek co roku, a mundurek, a sportowy ekwipunek... a licho wie co. To też rodzice na szkołę patrzą się gorzej, jak na komornika, w duchu dośpiewując sobie: czy oni tam powaryjowali — czy co? Zaglądają też do niej jaknajrzadziej, by nie wywołać niepotrzebnie wilka z lasu.

Naturalnie, trzeba chodzić na wywiadówki, by się zmiarkować, o ile należy zmodyfikować „nacisk“ ojcowski na syna lub córkę — i czy nie zanosi się na jakąś półroczną katastrofę — niekiedy trzeba jeszcze puścić się przed wywiadówką na „prywatną wyprawę“ — kiedy słuchy o niebardzo różowej sytuacji latorośli zmuszają do niej, by przekonać mało inteligentnego „belfra“, że się nie poznał na talencie chłopca czy dziewczyny. Jeżeli takie podejście nie bardzo „bierze“ — przerzucają się rodzice na symfonję płaczów i biadań — no i zawsze coś wyskubią. W domu jednak doprowadzają rachunek prawdy do równowagi księgując na plecach zamaskowanego czy dziedzicznego leniucha odpowiednią porcję kijów.

Poza temi wypadkami zetknięcia, rodzice nic prawie nie wiedzą, co tam w tym murach szkolnych siedzi — z czego składa się menu szkolne — jakie stosuje się witaminy moralne a jakie umysłowe — jaka jest obecnie pozycja religji w szkole — czy niema na nią zakusów? Nie wiedzą prawie nic, jak w koniu trojańskim starają się różne koła przemycić uświadomienie seksualne, odpowiednią psychoanalizę (to też nowość — co?) do szkoły, jak na jej terenie toczą się homeryckie zapasy o szkołę świecką czy wyznaniową — indywidualistyczną czy społeczną — autorytatywną czy samowychowawczą — narodową czy państwową — humanistyczną czy politechniczną — koedukacyjną czy oddzielną — jednolitą czy zróżniczkowaną? Nikt się bardzo nie orjentuje czy szkolnictwem rządzi u nas minister czy radykalny Związek Nauczycielstwa. Cały proces budowy i przeobrażania się szkolnictwa polskiego odbywa się poza plecami rodziców. Czy ta sytuacja nie powinna uledz zmianie?

Oni swoje, my swoje...

Oni to: przewodnicy narodu, luminarze ducha, niezłomni moraliści, to biskupi, duchowieństwo, to władze, a więc premjer, wicepremjer, ministrowie, wojewodowie, prokuratorzy, komisarze.

Oni to: instytucje kulturalno-oświatowe, społeczne, zawodowe, to ludzie wierzący, moralni, ojcowie i matki rodzin, uczeni, obywatele...

My to: redaktorzy, Geschäftsführerzy różnych: Eroticonu, Warszawianki, Adama i Ewy, Wolnych Żartów, Expressa humorystycznego, Kina etc.

My to: „ruch" rozprowadzający z dobrym zyskiem po całej Polsce tę zgniliznę krajową i zagraniczną...

My to: księgarze, kioskarze, kolporterzy — wprowadzający dalej tę „radosną" literaturę w masy...

My to: to różni wpływowi wolnomyśliciele, ludzie od „używania", od pieniądza i zabawy, różne rozwodniki, geszefciarze, oszuści, linoskoczki i błazny życiowe — to my konsumenci!

My się wcale nie przejmujemy, co „oni" gadają, bo „oni" swoje a my swoje... ha-ha-hi... ha-ha-ho!...

— — — — — — — — — — — — — — —

Przed kioskiem. Przed wywieszonemi od zewnątrz dziennikami i perjodykami stoi jakiś młody, w stroju niezupełnie dżentelmeńskim — człowiek pracy. Czapka trochę na bakier, ręce w kieszeni, mina „baciarygi". Podchodzę. Tamten patrzy jakiś czas, później nie może powstrzymać swego uczucia.

— Panie, popatrz pan... widział pan taką?... Jak Bozię kocham, panie to aż człowieka rozbiera. Jak tu nie kupić, kiedy oni dają takie klawe ilustracje, a jeszcze napiszą co do omasty?... Mówię panu, że to człowiek żyje... Czytają to prawie wszyscy młodzi, którzy chodzą czy jeszcze nie chodzą do... Bo jakże? Jak pan takie przeczytasz, to pan sobie nie dasz rady... Wtedy się i pieniądz znaleźć musi, choćbym miał go ukraść, zarznąć własnego ojca czy matkę... Tak, panie, to mocniejsze od człowieka — oni to wiedzą ci fabrykanci! Oni tam muszą robić na nas porządną flotę... ale niech ich tam!...

— — — — — — — — — — — — — — —

Franek wpada zadyszany i zaaferowany do Józka. Rozgląda się trwożliwie.

— A gdzie twoi starzy?

— Ojciec jest w przyległym pokoju i drzemie, jak zwykle popołudniu.

— A to w sam raz, popatrz, co przyniosłem... Popatrz, jakie ładne baby... to girlsy — prawie wszystkie... a tu gwiazdy... też ledwo, ledwo... Cóż? dobre! Widzisz, my mamy na wszystko radę... nie pozwalają iść do kabaretu, kina, czy teatrzyku, to my mamy takie pisma... Oni głupcy myślą, że wystarczy jednego chwycić za mordę... trzeba byłoby konsekwentnie wszystkich... Ale gdzie oni tam, oni tak tylko od parady... zakapturzone głowy! No, całem szczęściem dla nas!...

— — — — — — — — — — — — — — —

— No, powiedz mi, Władziuniu, jaką ty chciałbyś mieć żonę — blondynkę czy brunetkę, a inteligentną, a dobrą, a moralnie czystą, a...?

— Ale, ale idźże, idźże, Jadźka, jesteś naiwna, jak bęben czteroletni! Grunt to, żeby poza forsą miała zgrabne nogi, zgrabny korpus, zwłaszcza o... popatrz tak, jak ta...

Ilustracja kolorowa, przedstawiająca jakąś diwę, zupełnie prawie odsłoniętą, rozłożoną na miękkim kobiercu, w postawie kuszącej...

— Na rany! Władku, co ty mówisz, skąd się to u ciebie znalazło?... To koledzy z biura... gdzieś ty zaszedł? Ty byś dopiero ładnie wyglądał!... Taż to gadzinowe pismo!... Władku, czy ty mówisz na prawdę?... To byś uważał za szczęście? Ani może tydzień byś nie był szczęśliwy!... A któż to propaguje takie rzeczy? Dlaczegóż oni to pozwalają drukować? Dlaczego oni pozwolą rozchodzić się tej zgniliźnie?... Przecież słyszałam przez radjo mowę wicepremjera Kwiatkowskiego... Wyrzuć prędko tę szmatę!... Ah! gdzieś ty zaszedł Władku?... Wstydź się!...

— — — — — — — — — — — — — — —

W sądzie. Sędzia:

— Niech mi pan powie, co pana skłoniło do tak haniebnego występku wobec tej panienki?

Podsądny:

— Panie sędzio, ja byłem zatruty, ja nie byłem samym sobą — to mnie opanowało kompletnie — czytałem od dłuższego czasu pisma pornograficzne... Kiedy raz popołudniu widziałem na walach tę panią, idącą samotnie, ale nie... nie chcę sobie przypominać... to straszne!...

Po przesłuchaniu oskarżonego i świadków, przemówił prokurator, który domagał się średniej kary dla oskarżonego, bo działał pod presją namiętności, które osłabiły w nim hamulce moralne. Adwokat jednak domagał się całkowitego zwolnienia, dowodząc, że winę ponosi środowisko społeczne, rodzina — zgangrenowane miejsce pracy, władze policyjne, a zwłaszcza — i tu konkludował:

— W miejsce oskarżonego, powinni się znaleźć na tej ławie ci, którzy są prawdziwie winni! To redaktorzy i kapitaliści — przedsiębiorcy tych pism! Oni to gangrenują społeczeństwo, powodują hekatomby ofiar, rodzą parjasów moralnych, zdziczałych obywateli: Ich by należało zamknąć, nie pozwolić się im tuczyć i zbierać wawrzyny! Dlatego domagam się zwolnienia mojego klienta od winy i kary, bo on niewinny! To oni są winni... oni! Dlaczego im to pozwalają drukować i sprzedawać, pytam się Świetnego Sądu i Pana Prokuratora Rzeczypospolitej? Dlaczego?

Pod pstrokatym parasolem.

Każdy się domyśli, o co chodzi — czy nieprawda? O spółkę wydawniczą I.K.C., która hoduje różne okazy. Jest więc sam dziennik I. K. C., pan z 25-letnim brzuszkiem, bardzo dzisiejszy, bardzo „à la page" — lubiejący zewsząd zbierać i podawać wszelkie szpargały z tego świata i światka. Są różne latarnie magiczne z obrazami, jak „Światowid", naogół przyzwoicie wydawany (chociaż... czasem) i bardziej już zapchany różnemi habsburskimi romansami aus Wien. „Na szerokim świecie". Jest też mały piccolo „Tempo dnia" — zbabrany i umorusany błotem ulicy. Podobno T. P. urodził się w konjunkturalnym okresie procesu Gorgonowej, nawet zaraz utył i wogóle... tęskni za taką „aurą". Podobno w ostatnich tygodniach piccolo zebrał niemałą porcję aż 80 tysięcy złotych kary za... ale o tem już śpiewają poczciwe „Wróble na dachu", które powinny były ten moment stanowczo więcej wykorzystać i puścić pod tekstem motto: „Dopóty dzbanek wodę nosi. aż... itd."

Obecnie w spółce zjawiło się nowe cudowne dziecko, ubrane w różne kolorowe szatki, któremu nadano imię „AS". Nawet byłoby nie złe, ale... Właśnie ale, bo ile te prawdziwe asy przestworzy czy mórz rozkoszują się w „świeżem powietrzu", o tyle ten I. K. C-owy AS (przez wielkie a!) chętnie przebywa w buduarach czy pied-à terre różnych girls, gwiazd kabaretowych i music-hallowych, asystując im przy deshabillement.

Trudno! Trzeba iść za duchem czasu! A moda dziś na libido i nudyzm!

Pikantne są też „przypisy" w erotomańskim stylu!

Nr. 8. — W wachlarzu sultana figurują prawie nagie „klejnoty", występujące w prawdziwych świątyniach francuskiego esprit (sic!) „Casino de Paris" lub Foliés Bergères! — (I nie dalej, jak rok temu I. K. C. napadł na francuski tygodnik „Voilà" za szkalowanie Krakowa! Tempora mutantur et nos...) Tego towaru nieocclonego przez władze jest więcej! Nr. 36. Kolorowa reprodukcja jakiejś nagości z komentarzem krakowskiego Kulturträgera: „Symfonja pięknych kształtów". — Nr. 38. Dwie urocze, (bo nagie) niewiasty. To w stylu AS'a: „odwieczne piękno".

Niewrażliwy.

Doniosłem raz jednemu dygnitarzowi, że niektóre księgarnie, ajencje prasowe i kioski sprzedają erotyczne pisma krajowe i zagraniczne, te ostatnie luksusowo wydane i bardziej niebezpieczne. Przyrzekł zbadać. Kiedy przyszedłem ponownie, przywitał mnie z uśmiechem.

— Oglądałem te pisma, które mi pan podał — rzecze mi. — Są one miejscami pieprzne, ale czy niebezpieczne? To rzecz gustu. Widzi pan, dawniej niewiasty nosiły długie suknie; jak która trochę ją podniosła, dostawałem dreszczyków, a teraz... Dzisiaj panie noszą suknie porozcinane z dwóch czy czterech stron, na plażach, zamiast majtek z falbankami noszą małe i obcisłe swimmery... Ale kogóż to drażni? Przyzwyczailiśmy się... Fotografje wspomnianych pism, to artystyczne akty kobiece. Może zdejmowane na konkursie lupanarów... no, może? Ale wie pan co, jak kto czego szuka, to zawsze znajdzie — a uczciwy sam ma się na ostrożności...

Tydzień społeczny.

Między 15 a 21 grudnia 1935 odbywał się w Krakowie w Domu Katolickim Tydzień społeczny Młodej Inteligencji katolickiej. W Tygodniu uczestniczyło ponad 300 osób, przeważnie z młodej generacji. Program obejmował codziennie; przed południem ranną Mszę św. śpiewaną i recytowaną — wspólne śniadanie oraz dwa dyskusyjne odczyty. Po południu 2 — 3 odczyty plenarne czy sekcyjne — oraz konferencję religijną. Uczestnicy otrzymali nocleg w Miejskim Domu Wycieczkowym, posiłki w Kuchni Inteligencji katolickiej na ul. Franciszkańskiej L. 4. Tydzień był rewją sił polskich z dziedziny pracy społecznej i utrwalił trzy niewątpliwe pozycje:

1) Katolicyzm posiada pewną, konstruktywną i dostatecznie rozgałęzioną doktrynę społeczną w dziedzinie pracy (główny przedmiot Tygodnia). Posiada on również dobrą znajomość różnych prądów i metod, propagowanych lub stosowanych w różnych państwach.

2) Katolicyzm polski posiada niemały już zastęp pracowników społecznych, tak w teorji jak i w praktyce, którzy dane zagadnienie potrafią wszechstronnie a głęboko ująć i wskazać — to najważniejsze — rozwiązania zgodne z naturą ludzką i dobrem społeczeństwa. Pocieszającym zwłaszcza faktem jest duża cyfra specjalistów zpośród młodej generacji,

3) zapał, entuzjazm i optymizm pracy — oparty o głębokie poczucie etycznej i dziejowej odpowiedzialności za dzisiejszą chwilę. Walory te nie są najmniejszej wagi — wręcz przeciwnie. Zwyciężają dziś nie tyle programy, ile ludzie. Jeśli ich ożywia jeszcze wiara w pomoc Bożą — można i należy spodziewać się jak najlepszych wyników.

Odczyty stojące na wysokim poziomie, poważna dyskusja koleżeńska i miłe stosunki towarzyskie — żar modlitewny i zapał do dalszej pracy — oto z czem rozjeżdżali się prelegenci i uczestnicy do swych domów, w różne strony Polski.

Praca społeczna Kościoła.

Słusznie pisał jeden z francuskich perjodyków „Correspondant", że niema postępu bez nawiązania do tradycji. Nie tylko postęp i tradycja nie są sobie przeciwne, ale nie mogą się nawet rozdzielać. Uwagi te możnaby zastosować z dużą słusznością i do naszej młodej generacji różnych odcieni — która tylko w tem się zgadza, że trzeba wszystko odwrócić do góry nogami. To oderwanie się od prądów historji — odrzucanie autorytetu poprzednich pokoleń, ma w sobie coś niepokojącego. Wskazywałoby na porażenie siatkówki myślowej, nie zdolnej ujmować przebiegu zjawisk i poddawać ich korzystnej ewolucji, a nie rewolucji. — Zwłaszcza grzeszą tem abstrakcyjnem doktrynerstwem kierunki radykalne w Polsce, wygłaszające pod adresem Kościoła krytyki, które tem chyba się odznaczają, że są na poziomie wiedzy Hotentotów... Praca społeczna Kościoła Katolickiego jest im całkowicie nieznaną. I rzecz ciekawa że ci sami radykalni społecznicy, którzy Kościołowi zarzucają trzymanie z kapitalistami i bogaczami, będą zachwalali obyczaje starożytnych i nawoływali do religji pogańskiej. —

Jednostka a społeczeństwo.

1. Nie społeczeństwo, lecz jedynie człowiek, i to każdy człowiek, będąc stworzonym na obraz i podobieństwo Boże, jest nieśmiertelny. Jedynie człowieka i to każdego bez wyjątku, umiłował Pan Bóg i odkupił Jezus Chrystus. Uznanie, że człowiek jest osobą, że ma cel indywidualny, nie jest indywidualizmem. Szkodliwy ten błąd, pod pozorem rozwoju indywidualnego, dąży do wyzwolenia człowieka z wszelkiej zależności.

2. Nie jest prawdą, że jednostka wystarcza sama sobie. Jakkolwiek cennemi byłyby jej przymioty, nie potrafi ona, bez społeczeństwa, w którem żyć jest dla niej koniecznością, ani zachować swego bytu, ani osiągnąć doskonałości umysłu i serca.

(Kat. Kodeks Społeczny).

Jeszcze trzeci.

(2) Maciej był ambitnym i drażliwym na punkcie swej religji katolickiej, bo uważał, tak po prostu, bez wielkiej uczoności, że jej potrzeba „leży już w człowieku". Zdawał sobie też sprawę coraz wyraźniej, że religja to nietylko sprawa kultu i nabożeństwa, ale że to źródło nakazów moralnych, wiążących tak poszczególnych ludzi, jak i całe społeczeństwo. Braterstwo chrześcijańskie, nakładające obowiązek sprawiedliwości i miłości wydawało mu się jedyną i dostateczną siłą do zażegnania konfliktów społecznych i podniesienia klasy pracującej. Z takiem odczuciem dość rzadko się jednak spotykał. Wśród rzemieślników nieraz słyszał wygadywania na Kościół, a zwłaszcza wśród tych, którzy szybko i tanim kosztem chcieli podciągnąć się do poziomu bogatszych mieszczan.

Ale Karol był groźniejszym, bo był zdeklarowanym socjałem. Po ostatniej z nim rozmowie, Maciej, który w jesieni i zimie więcej miał do „żgania" w robocie szewskiej, odłożył coś groszy i poszedł sobie kupić obie Encykliki społeczne Leona XIII i Piusa XI na ulicy św. Krzyża. Nie znalazł jednak czasu, by je zacząć czytać, a tu ten sekutnik Karol, zapowiedział się u niego na niedzielę! Na swoje szczęście spotkał on jednego ze swych klientów, Jerzego Ruckiego, nauczyciela, ale bez posady od paru lat i żyjącego z lekcyj prywatnych. Rucki cenił Macieja za jego rzetelną i punktualną robotę, jak i przykładność życia rodzinnego. Nieraz mawiał do Macieja: „Gdyby wszyscy rzemieślnicy byli takimi, niczby im nie zaszkodzili fabrykanci obuwia, ani żydzi, mający tanie, czy bezpłatne kredyty". Rucki wogóle był rozgarniętym człowiekiem. Miał on specjalne wyczucie dla spraw społecznych, to też w wolnych chwilach studjował je i obserwował „na żywo". Sprawy społeczne, mówił raz do Macieja, są dziś wielce skomplikowane i powiązane. Obraz ładu i sprawiedliwości społecznej zacierają ciągle fałszywe zasady, egoizm, namiętności ludzkie oraz wzajemna nieznajomość skłóconych klas. Bezrobocie doprowadza też miljony do zaniku właściwej miary, bo trapionemu nędzą, wszystko jest jedno i nie wyobraża sobie, by mogło być gorzej.

Kiedy Rucki dowiedział się o dysputach Macieja z Karolem, przyrzekł przyjść, ale dodał: „Z socjalistami trzeba roztropnie postępować, bo wielu wśród nich jest ludzi dobrej woli i to co mówią, w dużej mierze jest słuszne. Mnóstwo wśród nich jest takich, którzy odeszli od Kościoła, bo im się zdawało, że duchowieństwo i inni „prawowierni" katolicy uważali ich roszczenia za rewolucyjne, wtenczas, kiedy one były słuszne. Wpadłszy w objęcia socjalizmu, zostali celowo napompowani przeciw Kościołowi, który im przedstawiono, jako wspólnika kapitalizmu, pasożytującego na głupocie uciśnionych. Religję kazano im też uważać za rzecz prywatną, nie mającą nic do gadania w sprawach społecznych i obywającą się bez duchowieństwa. Skądinąd nasz socjalizm ma niewątpliwie pewne zasługi wobec „klasy" robotniczej, jak i wobec narodu, w okresie niewoli. Po wojnie, a zwłaszcza po przewrocie majowym nastąpiło w nim rozdwojenie. Świadczy to z jednej strony o tem, że socjalizm odbiegł już dość dawno od czystego marksizmu, oraz że obecnie niema skrystalizowanej doktryny (właściwie nigdy jej nie miał), a jego przewódcy lawirują, patrząc jedynie na swój własny interes. Hasła walki do upadłego z kapitałem, hasła przewrotów rewolucyjnych, wizję raju na ziemi, głosi się ciągle jeszcze

dołom, bo chodzi o utrzymanie ich w naprężeniu i posłuszeństwie, chodzi o składki organizacyjne i o wyborców.

Pozatem socjalizm nietylko u nas jest dziś rozproszkowany na różne obozy i oboziki, idące od skrajnego materjalizmu do etyczno-religijnego (belgijski socjalizm de Man'a). Ze względów politycznych wchodzą te czy inne rozgałęzienia w porozumienie to z masonerją i wolnomyślicielami, to znów z komunistami, to z partjami chłopskiemi. Wogóle bigos! W każdym razie doktryna nigdzie nie wytrzymała życia. U nas w Polsce są przytem warunki odmienne od zachodnich. Gros ludności zajętej jest w rolnictwie. Kapitał rodzimy jest słaby, zagraniczny zaś i żydowski zapewne nie wiele dba o interesy polskich warstw robotniczych, czy narodu; nie da się go jednak naciskać zbytnio, bo może uciec, lub nie napływać, powołując jeszcze większy zastój. Socjalizm państwowy, taki, jaki jest w Rosji, niczego by u nas nie dokazał, chyba jeszcze większą by spowodował nędzę... No, ale o tem w niedzielę, panie Macieju.

Problemy społeczne.

Każdy widzi takie problemy od „swojej" strony i najwięcej palącą wydaje mu się kwestja obcięcia pensji, podatków, zarobków, komornego, czy cena produktów żywnościowych i t. d. Każdy więc nosi z sobą swój własny problem i nie wiele go interesują inne. Z tego punktu widzenia, otrzymalibyśmy ilość problemów, mnożąc 33 miljony mieszkańców przez czynnik osobistego zapotrzebowania w danym okresie czasu. Z podobnego iloczynu wyrosłaby taka krzyżówka, że nikt nie byłby w stanie jej rozplątać. Pokusiło się tylko o to państwo bolszewickie, regulując zapotrzebowania wszystkich na jednolitą i uproszczoną modłę.

U nas, ten stan apatji i obojętności wobec spraw ogólnych całego narodu i państwa jest może najgroźniejszym objawem społecznym. Mimo osobistych trudności, niedostatku, a nawet i nędzy, nie wolno nikomu odżegnywać się od przemyślenia wspólnie zasadniczych dla naszego zbiorowego życia problemów i dorzucenia swojej cegły do budowy gmachu. Dobrobyt bowiem każdego zależy od dobrobytu całości. Jeśli chodzi o naszą wielką społeczność narodową, to istnieją t. zw. ramowe zagadnienia, coś jakby tło obrazu u malarza, i zagadnienia specjalne. Do pierwszych należą, naszem zdaniem: 1) problem duchowej kultury społecznej, pojętej w sensie solidaryzmu społecznego, zaniechającego waśni i walk klasowych, przeciwnych duchowi chrześcijańskiego braterstwa. Na polu zbliżenia się do siebie warstw społecznych i wzajemnego ich poznania się, pozostaje niesłychanie dużo do odrobienia u nas. 2) Związany z nim ściśle jest problem sprawiedliwości społecznej, bo tylko w jej duchu to zbliżenie się i gotowość do współpracy wszystkich jest jedynie możliwa. I na tem polu niezmiernie wiele jest do zrobienia (bezrobocie, podatki, uwłaszczenie mas); bez sprawiedliwego krajania bochenka nie można dobić do 3) problemu instytucjonalnego, t. j.: utrwalenia solidaryzmu duchowego, opartego na przesłankach moralnych w stałe prawne instytucje organiczne, wiążące różne stany społeczne w jedność społeczno-gospodarczą. Dokonałby tego ustrój korporacyjny, który wymaga specjalnie dłuższego omówienia. Są to etapy, które powinny uleczyć rozdarty organizm społeczny, a wówczas inne zagadnienia, przy tej współpracy wszystkich, znajdą łatwiej swe rozwiązanie. A tych zagadnień jest dziś niesłychanie dużo i są one bardzo ciężkie do należytego ujęcia i sprawiedliwego rozwiązania.

Przeciw kapitalizmowi.

I. Pisząc taki tytuł, nie mamy wcale zamiaru licytować się z radykałami z obozu materjalistycznego — nie idziemy też wcale „za wodą", ani też nie robimy „wtył zwrot" z wmawianego Kościołowi stanowiska kapitalistyczno-konserwatywnego. Enuncjacja X. Kard. Hlonda, przytoczona w poprzednim numerze, każdego utwierdzić powinna w tem przekonaniu. Nowoczesny kapitalizm nie odpowiada pojęciu sprawiedliwości społecznej, o jakiej mówi nam Ewangelja i prawo natury człowieka, a przez swój produktywizm, obliczony tylko na zysk, z pogwałceniem praw nieśmiertelnej duszy ludzkiej, musiał ze strony władzy nauczycielskiej Kościoła wywołać protest. Wyrazem tego i to wspaniałym jest wiekopomna Encyklika Piusa XI. z 15. V. 1931 — „o przebudowie ustroju społecznego". (Quadragesimo Anno), będąca dalszym ciągiem Encykliki Leona XIII. Zdajemy sobie sprawę, że wiele mieszkańców

A przecież powinno być wiadomo już pędrakowi z freblówki, że nie kto inny tylko Kościół wyzwolił w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, w drodze duchowego przeistoczenia człowieka — uciskane niegdyś masy niewolników, podobnie jak wyzwolił kobietę i dzieci, a jednostkę ludzką z pod omnipotencji państwa starożytnego. A kto może ignorować pracę Kościoła w średniowieczu, a obecnie? Polecamy dla informacji, choćby jedną pouczającą w tym względzie pracę prof. Sorbony w Paryżu: Chenon'a — Le role social de l'Eglise.

Chrześcijańscy pracodawcy.

Człowiek charakteryzuje się w klasyfikacji porządkowej trzema niejako imionami: 1) imieniem chrzestnem, które go włącza w Królestwo Boże, 2) imieniem rodzinnem, które go czyni członkiem tej małej społeczności rodzinnej, 3) wreszcie imieniem zawodu, który go włącza w wielki organizm społeczny, opierający się na pracy. Ci, którzy wykonują w społeczeństwie ten sam rodzaj pracy, należą do jednego zawodu, tworzą prawny związek zawodowy. Przy dzisiejszym ustroju walki klas istnieją ścierające się i wrogie sobie związki zawodowe pracodawców i pracobiorców. — Encyklika społeczna Leona XIII roku 1891 — poleca tworzyć katolikom Chrześcijańskie związki zawodowe tak robotników, jak i pracodawców ale porozumiewających się ze sobą na zasadach sprawiedliwości i miłości chrześcijańskiej. U nas w Krakowie istnieje na razie od szeregu lat chrześcijańska reprezentacja związków zawodowych pracobiorców (Rynek główny 29), brak natomiast było odpowiadającej organizacji chrześcijańskich pracodawców. Organizacja taka, — o ile nam wiadomo — obecnie się tworzy.

Otwierają się oczy.

W ubiegłych miesiącach notowała prasa ważne odruchy niektórych grup społecznych. I tak Zjazd **Chrześcijańskiego Kupiectwa w Krakowie** domagał się przestrzegania w zawodzie kupieckim norm moralności w wyższym, niż dotąd stopniu — unikania nieuczciwej konkurencji i dostarczenia drobnemu zwłaszcza kupcowi tańszego kredytu wobec tego, że handel żydowski, zasilany jest z zagranicy bezpłatnym kapitałem. Uchwały te zdają się odzwierciedlać pewną smutną rzeczywistość mieszczaństwa krakowskiego, muszącego pracować w nierównych warunkach z konkurencją izraelitów. — Drugi wypadek godny zanotowania, to secesja adwokatów polskich w Krakowie ze Związku adwokackiego, gdzie przemożne lub wyłączne wpływy mają żydzi. Społeczeństwo katolickie powinno wyciągnąć z tych zdarzeń odpowiednie konsekwencje.

Przebojem.

W grudniu zaczęło wychodzić nowe pismo perjodyczne „Przebojem", organ Frontu młodych katolików społecznych w Polsce. Numer 5 groszy. Prenumerata roczna 1 zł. Warszawa ul. Hoża L. 26. Zarząd Okręg. Krakowski Chrześć. Młodzieży Społecznej, Rynek Główny L. 29, Prezes mgr. Konstanty Turowski.

UMIEĆ PATRZEĆ...

W czasie wojny znany był typ „strategów przy stoliku kawiarnianym“. Tacy obfitowali zazwyczaj w bogate pomysły i realizowali je szybko, jeżdżąc palcem po mapie. W sprawach społeczno-gospodarczych niemało jest „wielkich“ ludzi, zawodowych doktrynerów, frazesowiczów, którzy układają budżety, tworzą sprawiedliwość społeczną „ze swojego podwórka“, wygadują raz na proletarjat, raz na kapitalistów... Tacy nie widzieli nieraz wcale ani fabryki, ani warsztatu rzemieślnika, czy przedsiębiorstwa handlowego lub bankowego. Nie chcą oni się zmusić, by poznać, jak konkretnie tworzy się, utrzymuje i żyje organizm zbiorowości pracującej w danej miejscowości, okolicy czy kraju. Cóż pomoże czcze gadanie?

Pamiętnik bezrobotnych.

Zamiast czytać bezmyślnie różne „Zmory“, po których zostaje w duszy raz na zawsze fermentujący osad zła, czy nie lepiej byłoby zapoznać się z dokumentami tej strasznej dzisiejszej rzeczywistości, jaka przebija z kart „Pamiętnika bezrobotnych“. Może niejeden zacząłby poważniej myśleć o życiu i wyzbyłby się zabójczego w życiu narodowem egoizmu klasowego czy rodzinnego.

Pamiętajmy o ubogich.

Tysiące biednych w Krakowie niema środków do życia, niema nieraz mieszkań, okrycia. A jesteśmy w pełni zimy. Nie zapominajmy o tych biednych, z którymi winniśmy się podzielić tem, co możemy. Ofiary przyjmuje: Arcybiskupi Komitet Ratunkowy (Straszewskiego 18), Caritas, (ul. św. Jana 7), oraz różne organizacje miłosierdzia w parafjach krakowskich.

Krakowa nie orjentuje się o co tu chodzi, bo Kraków nie jest tyle miastem przemysłowym i robotniczym — ile więcej urzędniczym i emerytów. Rozumiemy, że nie każdy pojmie nasze wywody, bo mu brak odpowiedniego doświadczenia społecznego i pojęć — a co najważniejsze to brak zainteresowania, bo pomimo różnych „Hallo i huzia na burżujów“, naszym mieszczuchom wydaje się, że wszystko jest dobrze w jak najlepszym świecie i że sobie żywot zakończą spokojnie i zostaną pogrzebani w rodzinnym grobowcu, bez żadnych komunistycznych krajań i niwelacji. Ejże! Czyście tego tacy pewni? Osobiście wolę ideowego, szlachetnego komunistę (powiecie, że to nie byłby komunista!) od takiego gnuśnego „burżuja“, bo z pierwszym mogę się, choćby przez dyskusję czegoś dogadać, a drugi machnie ręką, pójdzie grać w karty lub zamroczyć sobie głowę i daje poznać, że go nic nie obchodzą t. zw. kwestje społeczne.

Kapitalizm, jak wiadomo, charakteryzuje się duchem przedsiębiorczości, spekulacji i ryzyka, podejmowanych na rynku produkcji i zbytu, regulowanych nieograniczoną wolną konkurencją i prawem podaży i popytu. Celem kapitalistycznego ustroju to gra wyłączna na zysk i podporządkowanie mu praw moralnych jednostek pracujących i dobra społecznego (palenie zboża, kawy, niszczenia różnych produktów dla utrzymania ceny). Pieniądz jest naczelnym regulatorem całego ustroju. (Jaskrawo to przebija nawet w socjalistycznym kapitaliźmie państwa w Bolszewji!).

Otóż pojawiające się na targowicy społecznej recepty przeciw kapitalizmowi są nieraz jego zmitygowaną formą, czy podróbką, bez przemiany ducha.

I tak roztropni przedstawiciele finansjery głoszą potrzebę porzucenia kapitalizmu spekulacyjnego na rzecz kapitalizmu oszczędnościowego — chodzi jednak jedynie o ratowanie dzisiejszego kapitalizmu. To znów posiadacze małego kapitału krzyczą na wielki kapitalizm, który ich pożera. Duch mamony jest jednak tu i tam ten sam, a cała kłótnia jest domowem nieporozumieniem.

Fałszywym jest również antykapitalizm, któremu chodzi i wyparcie obecnego reżimu i jego beneficjantów, ale nie jego moralności. Celem takiego przeważnie rewolucyjnego antykapitalizmu, to uogólnienie wygody, bogactwa wśród tych, którzy go dotąd nie zażywali, kosztem dawnych.

Redaguje: J. Serafin. — Administracja i Redakcja: Kraków, ul. Kopernika L. 9.
Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie pod zarz. R. Ferka.